

Od autora: wspomnienie

(następny fragment z dopiero pisanej kolejnej, wspomnieniowej książki. Czas akcji - przełom 1985/86 roku, miejsce - stacjonarny, młodzieżowy hufiec OHP)

(...)

Po pierwszych kilku miesiącach mojej pracy na nowym stanowisku nastąpiło kolejne zderzenie między starymi przyzwyczajeniami wojskowego szefostwa z komendy wojewódzkiej a fizycznymi i intelektualnymi możliwościami naszych uczestników.

W początkach zimy komendanci plutonów zaczęli popołudniami prowadzić szkolenie z musztry. „Z musztry” to zbyt poważne słowo. Właściwsze byłoby „przygotowania, w trudzie i znoju, do przemarszu hufca po ślubowaniu młodego rocznika uczestników”. Określenie dużo dłuższe, ale prawdziwsze.

Jako zastępca komendanta hufca obserwowałem czasem udrękę wychowawców z nowymi chłopcami. Nie ze wszystkimi, ale wystarczyło takich dwóch-trzech w plutonie, którzy nie potrafili iść równo ramię w ramię i noga w nogę z pozostałymi, aby od razu rzucali się w oczy przy próbach przemarszu.

– No jajo zniosę, a tych dwóch nie nauczę. – Jarek, jeden z wychowawców, ciężko usiadł obok mnie na wersalce w dyżurce internatu. – Pięć razy próbowaliśmy przejść i za każdym razem nogi im się mylą...

– ...a rękami machają jak skrzydłami wiatraka – dokończyłem. – Widziałem. Ale musisz ich nauczyć. Nie ma możliwości, muszą wziąć udział w ślubowaniu.

– Tak mamy co roku. – Zdjął czapkę i, zdenerwowany, rzucił ją na siedzenie. – A później opierdalantus od województwa, że nawet prostego marszu nie potrafimy nauczyć. Przyjedzie taki jeden z drugim, stanie na trybunie i później po ślubowaniu wydziwia.

– Opierdalantus z góry to dostaje komenda hufca a nie wy, wychowawcy. My jesteśmy odgromnikami przed tymi piorunami – mimowolnie, podwójnie zarymowałem. – To znaczy, wpierw ja będę musiał wysłuchać i zebrać gromy. Przywykłem, mało miałem tego w oddziale OC? Podciągnij ich na tyle, aby niezbyt rzucali się w oczy. Schowamy ich w środku, chociaż z góry z trybuny i tak widać.

– A co ja robię? Krzyczę „lewa!” a ten rusza z prawej. Powiążę ich czy co?

– A właśnie, dobra myśl. – wypowiedziałem głośno to, co przemknęło mi przez głowę. – Może daj każdemu z tej dwójki kija do lewej ręki a drugi koniec niech trzyma z przodu jakiś bardziej gramotny. Lewe nogi powiąż im linką. – Zaśmiałem się i lekko klepnałem Jarka w plecy. – Nieważna metoda, ważny cel. A może Janicha nie przyjedzie na ślubowanie.

– Oby. Spróbuję z kijami, ale czy to coś da?

– Spróbować nie zawadzi. Dobra, idę do siebie, mam papierkową robotę. Jak ja ją lubię, kurde...

„Janichą” nazywaliśmy zastępcę komendanta wojewódzkiego OHP, pułkownika Janiszewskiego. Był jednym z tych zawodowych żołnierzy, którzy nawyki i dryl z wieloletniej służby wojskowej przenieśli do młodzieżowego OHP. Oddelegowani do komendy głównej i wojewódzkich narzucali te zwyczaje i wymagania. W podległych, zmilitaryzowanych oddziałach OC dla dorosłych odbywających służbę z poboru – to było jeszcze zrozumiałe, ale w pracy z małolatami w ochotniczych, młodzieżowych hufcach przynosiło mierne efekty, czasem odwrotne od oczekiwanych...

Niestety, zanosiło się na przyjazd Janichy. Zorientowałem się, kiedy odwiedził nas któregoś popołudnia, w czasie ćwiczeń uczestników do ślubowania. Kiedy zobaczył maszerujących czterech młodzianków trzymających wspólnie dwa kije, nasrożył się i zwrócił do mnie:

– A co to jest? Kije chcecie prezentować na ślubowaniu?

– Nie, panie pułkowniku – odparłem spokojnie. – Tych dwóch chłopaków z tyłu myli prawą stroną z lewą. Więc ci z przodu im pomagają, aby szli w nogę.

– Chcecie mi powiedzieć, komendancie, że oni nie wiedzą która to lewa? Żarty was się trzymają?! To jest próba do ślubowania, a nie cyrk jakiś. Dajcie ich do mnie.

Wzruszyłem lekko ramionami. „Chce, to niech sam sprawdzi. Chyba że – przemknęło mi przez głowę – chłopacy już się trochę poduczili trzymać krok. Wtedy będę miał znowu do wysłuchania”.

Wezwałem ich. Janicha stanął przed nimi, zlustrował wzrokiem od góry do dołu i polecił:

– Podnieście lewe ręce do góry.

Obaj podnieśli prawidłowo. Pułkownik spojrzął na mnie, skrzywił usta i pokiwał głową.

– Opuśćcie. – Ponaglił ich ruchem ręki w dół. – A teraz podnieście lewe nogi.

Również wykonali poprawnie polecenie. Janicha spojrzął ponownie na mnie i sarkastycznie zapytał:

– No i co, komendancie? Nie wiedzą, która to lewa, co? Co wy, jaja sobie robicie?! – podniósł głos o ton wyżej.

„Kurde, no to wtopa! – Poczułem, że będę musiał przełknąć gorzką pigułkę. – A jednak już się nauczyli. Cholera! Mieli kiedy. Ale... – postanowiłem jeszcze ich sprawdzić.

– Dobrze – zwróciłem się do chłopców. – Na moją komendę zróbcie kilka kroków jak na defiladzie. Uwaga... lewa!

Jeden z uczestników ruszył lewą nogą, ale drugi prawą. Ten pierwszy to zauważył i próbował zmienić krok na nieprawidłowy; niestety jednocześnie drugi zrobił to samo tylko w przeciwną stronę. Ręce im się całkiem pomyliły. Po ich trzech niezdatnych krokach wstrzymałem pokaz:

– Stój. Wystarczy. Panie pułkowniku – zwróciłem się do niego beznamiętnym głosem, chociaż w środku odczułem dużą satysfakcję – czy uczestnicy mogą już wrócić do ćwiczeń ze swoim plutonem? Niedługo

kolacja.

Głęboko wciągnął powietrze, ścisnął usta, policzki mu nabrzmiały, chociaż nie szcerwieniły. Prawdopodobnie tylko dlatego, że był chudy i krew nie zdążyła napłynąć. Spojrzał na chłopców i podniósł ostrzegawczo palec w górę, ale... nagle zrezygnował.

– Niech idą. Niech jeszcze raz wszyscy przemaszerują.

Nie zakazał marszu z kijami, więc cały pluton przeszedł w miarę równo. To „w miarę” oznaczało pewnie stany bardzo niskie w stosunku do oczekiwanych przez komendę wojewódzką, ale już wyższe niż negatywne. Jednak kije pomogły.

Na zakończenie inspekcji Janicha polecił stanąć wszystkim uczestnikom w dwuszeregu. Kiedy się tylko jako tako ustawili, zaczął wolno przechodzić lustrując niektórych wzrokiem. Nagle stanął i wskazał palcem na jednego z chłopców.

– Ty. Wyprostuj się.

To był uczestnik, który miał wrodzone, boczne skrzywienie w kręgach karku, tak zwaną „krzywą szyjkę” i dlatego głowę zawsze przechyłał w lewą stronę. Szybko podszedłem.

– Panie pułkowniku – cicho powiedziałem – on nie może...

– Jak to nie może?! – przerwał mi głośno. – Jak on stoi!

Nie zdążyłem wyjaśnić, gdyż już chwycił dwoma rękami głowę chłopaka i wyprostował ją do pionu. Nieborak od razu wygiął się w pasie w lewo.

– On naprawdę nie może, ma skrzywienie kręgosłupa – szybko dopowiedziałem.

– Krzywe co? Aha. To trzeba było mi od razu powiedzieć!

Puścił chłopaka i na tym skończył się przegląd przygotowania hufca do ślubowania. Janicha sprawdził jeszcze porządek i czystość w kilku pokojach chłopców, po czym zakończył kontrolę. Pożegnał się ze mną dość... oziębłe. "Dość oziębłe" to mało powiedziane. Wyraźnie odczułem, że nasza nić służbowej relacji znalazła się w niskich stanach temperatury, bliskich zeru w skali Celsjusza.

Nie polubiliśmy się. Bardziej on mnie nie polubił. Czulem podświadomie, że będzie czekał na okazję, abym to odczuł. Taki typ szefa cholernie nie lubi swoich wpadek w obecności podwładnego, jeżeli podwładny był nie tylko biernym obserwatorem, ale jeszcze czynnie udowodnił swoją rację. Zwłaszcza kiedy świadkowali takiemu wpadkowi jeszcze inni, nawet jeżeli to byli zwykli, młodzi chłopcy.

Długo nie musiałem czekać...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 14.10.2023 09:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.